

Kryzys w mieście łyżek

Tekst i zdjęcia Katarzyna Kwiatkowska

W Nytwie, dwudziestotysięcznym mieście w obwodzie permskim, zakręcono kurek z ciepłą wodą. Nie byłoby w tym nic dziwnego – takie praktyki, nazywane „remontem kanalizacji”, zdarzają się w prawie każdym rosyjskim mieście. Tym razem jednak nie chodziło o oszczędność, lecz o światowy kryzys gospodarczy i o być albo nie być miasta.

Piotr Ogorodow, wiceszef administracji rejonu nytwieńskiego, wie dużo.

– Wiemy, kto robił kolorowe rewolucje na Ukrainie, w Gruzji. Wiemy, kto podjudza ludzi na Białorusi. Rozwalili ZSRR, a teraz chcą rozwalić Federację Rosyjską. My to wszystko doskonale wiemy. A Polska? Wiemy, skąd wziął się Lech Wałęsa. Wiemy, kto zasiał zwątpienie w system socjalistyczny. Krzykacze oczywiście są, ale nie zapominajmy, że krzykaczy zawsze ktoś podjudza – mówi.

„Krzykaczami” Ogorodow nazywa bojowo nastawionych emerytów, którzy – niezadowoleni z sytuacji w mieście – odgrażali się miejscowej władzy blokadą dróg.

Cios

W Związku Weteranów bardzo by się zdziwili oskarżeniami o kolaborację z CIA. Obwinianie o całe zło Stanów Zjednoczonych to przecież ich domena. Gdyby nie podstępna działalność amerykańskich agentów, socjalistyczna ojczyzna nadal by kwitła, a wszystko byłoby państwowe, czyli wspólne.

„Bush chwalił się, że bez jednego wystrzału zwyciężył cały ZSRR. Wszyscy nas zdradzili. Wszystko rozkradli. A teraz ten kryzys to niby skąd? Z Ameryki!” – powtarzają mieszkańcy miasteczka (nie chcą podać nazwisk, bo Polska to teraz członek NATO, a oni boją się zachodniej propagandy).

Na wspomnienie o bojowych emerytach Piotr Ogorodow łapie się za serce. Od roku żyje w ciągłym napięciu. Światowy kryzys gospodarczy uderzył w Nytwę niczym grom z jasnego nieba. Fabryka Wyrobów Metalowych, największy zakład w mieście, wstrzymała produkcję i pod groźbą bankructwa przeszła pod sądową jurysdykcję. Część załogi zwolniono, część odesłano na bezpłatne urlopy.

Cios był tym bardziej dotkliwy, że nic nie zapowiadało dziejowej burzy. Jeszcze niedawno ceny surowców trzymały się mocno, do miasta spływały państwowe zamówienia, a właściciel fabryki, holding Elektrostal Rosji (Estar), chciał się stać stolarową potęgą. Choć moskiewscy eksperci ze sceptycyzmem odnosili się do tych śmiałych planów, w małej Nitwie z ufnością patrzono w przyszłość.

– Wszystkim zachciało się pięknie żyć – tłumaczy Gienadij Wiebiernikow, redaktor naczelny miejscowej gazety „Nowyj dzień”. – Ludzie nabrali kredytów, nie bardzo martwiąc się, kto je spłaci, jeśli pracy zabraknie.

Jeszcze w sierpniu 2008 roku właściciel Estara, członek partii Jedna Rosja Wadim Warszawski, lekką ręką sypanął dwadzieścia milionów rubli na pomoc dla Osetii Południowej. Dziś długi holdingu ocenia się na około półtora miliarda rubli, a kolejne fabryki wchodzące w jego skład ogłaszają upadłość. Kryzys obnażył błędy w zarządzaniu. O niebotycznie wysokich pensjach dla top menedżerów krążyły legendy.

Mieszkańcy Nitwy pogodzili się z kłopotami. Żyjąc w trudnych warunkach, Rosjanie myślą o lepszym świecie. Tam czeka na nich nagroda za cierpienie.

Sztućce

Nytwieńska fabryka poleciała jako jedna z pierwszych. Zgodnie z opinią lokalnej prasy, nie ze swojej winy, a z powodu zaciągniętych dla holdingu kredytów. Choć reanimacja przedsiębiorstwa trwa, a miejscowe władze wyciskają z siebie siódme poty, przeczuwając, że krach zakładu będzie gwoździem do ich trumny (w mieście już zdymisjonowano mera), sytuacja jest napięta.

– Problem w tym, że wszystko, co przynosiło zysk, znalazło się w prywatnych rękach i lokalni urzędnicy mają związane ręce – skarży się Ogorodow. – Wolny rynek rządzi się własnymi prawami.

Nytwa, miasto jednego przedsiębiorstwa, jest uzależnione od swojej fabryki, która zatrudniała 25 procent miejscowej siły roboczej i zabezpieczała ponad połowę budżetu miasta. Tutejszy drobny biznes bazował na współpracy z molochem.

– Władze są w panice – twierdzi miejscowy dziennikarz, topiąc smutki w porannej dawce alkoholu.

Nic dziwnego, chodzi bowiem o chlubę miasta. Fabryka, założona w 1756 roku przez Marię Stroganową, przekształciła osadę nad Kamą w pełnoprawne miasto. Przetrwała burzę rewolucji październikowej, a w czasie II wojny światowej produkowała dla frontu (wojenna biografia, traktowana w Rosji jak świętość, dotyczy nie tylko ludzi). W czasach pokoju zakład stał się czołowym producentem sztucców, którymi – co się tu z dumą podkreśla – jadła połowa Rosji. W mieście założono jedyne w Europie Muzeum Łyżek.

– Nie wyobrażam sobie, że fabryki mogłoby nie być – mówi Aleksander Władimirowicz, który przepracował w jej murach trzydzieści pięć lat.

Choć zaraz po wojnie trafił wraz z ojcem do kolonii karnej, zarzeka się, że za Stalina było lepiej niż teraz.

– Robotnik naszej fabryki to był ktoś! – opowiada Aleksander Władimirowicz.

Fabryka łyżek to chluba miasta, przetrwała burzę rewolucji październikowej, a w czasie II wojny światowej produkowała dla frontu. Wojenna biografia, traktowana w Rosji jak świętość, dotyczy nie tylko ludzi.

Fabryczny Dom kultury, w którym z pompą świętowano Dzień Metalurga, dziś jest zamknięty na cztery spusty, a firmowy sklep świeci pustkami. Julia, mieszkanka Permu rodem z Nytwy, kupuje tam otwieracz do piwa.

– Trzeba wesprzeć rodzimą produkcję – rzuca.

Rodzima produkcja ma się kiepsko, chińska niewiele lepiej. Na rynku w centrum miasta stopy tanich butów leżą odłogiem. Nikt nie chce też ubrań. Na konfekcji oszczędza się w pierwszej kolejności.

– Ludzie zbiednieli z dnia na dzień – narzeka korpulentna sprzedawczyni, jedna z niewielu, którą stać jeszcze na sympatyczny uśmiech.

Choć mało komu jest do śmiechu, po mieście krążą kryzysowe dowcipy:

– Tatusiu, kup mi czekoladkę!

– Synku, też bym zjadł czekoladkę, ale jest kryzys i pieniędzy wystarczy nam tylko na wódkę.

Długi

Tymczasem mieszkańcy Nytwy, nieprzywykli do rynkowych reguł, dziś dostają bolesną lekcję.

– Zaległe należności zbierały się latami – tłumaczy redaktor Wiebiernikow. – Ludzie się przyzwyczaili, myśleli, że samo się umorzy, że państwo zapłaci. Nie docierało do nich, że wszystko zostało sprywatyzowane.

W sytych czasach zatwardziali dłużnicy mogli spać spokojnie. Miejscowy zakład energetyczny był firmą-córką fabryki. Brakujące należności za dostawę gazu regulowano z środków obrotowych „matki”. Tonące przedsiębiorstwo w pierwszej kolejności odrzuciło ten balast i w ciągu roku długi wobec permskiego dostawcy gazu sięgnęły dwudziestu milionów rubli, z czego szesnaście milionów winni są sami mieszkańcy.

Niemal w każdym domu wywieszono ogłoszenia, w których ujawniono szczegółowe dane osobowe zalegających z opłatami. Piotr Ogorodow dostrzega w tym naruszenie praw człowieka, broni jednak decyzji: ludzie powinni znać swoich „bohaterów”.

Akcję władz wsparła miejscowa gazeta, drukując personalia dłużników.

– Nie, podaliśmy tylko ich nazwiska, bez adresów – naczelny „Nowego dnia” zerka do własnej gazety – A nie, rzeczywiście. Ale to było niezbędne. Długi trzeba spłacać.

Problem w tym, że znakomita większość mieszkańców płaciła rachunki w terminie, a ukarani brakiem ciepłej wody zostali wszyscy.

– Kiedyś dziennikarze poszliby za to do obozu – oburzają się przedstawiciele Związku Weteranów.

Bojowi emeryci zaskarżyli decyzję o odcięciu wody do sądu.

– To populiści – rozkłada ręce Wiebiernikow, chyba największy w mieście zwolennik wolnego rynku. – Nie trzeba ich słuchać.

Większości ludzi nie w głowie jednak protesty, dominuje tęsknota za państwem opiekuńczym i marazm.

– Pogodziliśmy się z kłopotami. U nas tak już jest – wzdycha Marija Wiktorowna. – Żyjąc w trudnych warunkach, Rosjanie myślą o lepszym świecie. Tam czeka na nas nagroda za cierpienie.

Gdyby nie kryzys, nie przyjęłaby tej pracy. Co to bowiem za przyjemność stróżować w rozwalającej się drewnianej ruderze, która osiemdziesiąt lat temu była szkołą na przeciwnym brzegu rzeki? W czasach wolności gospodarczej konstrukcję przeniesiono: wsparty belkami budynek przypomina domek z kart i pewnie mógłby spłonąć jak zapałka. Jednak Marija woli o tym nie myśleć. Idąc po holu, omija wzrokiem wystające przewody. I tylko dzieci, które przyjeżdżają tu na obóz, jej szkoda. Osobiście bałaby się je zapraszać, bo ani prądu w pokojach na piętrze, ani bieżącej wody, a do toalet strach zaglądać, ale ona tu tylko pracuje.

Baza należy do miejscowego związku sportowego. Patrząc na jej działacza, który tłumaczy mi, że posiada wszystkie potrzebne pozwolenia i atesty, tyle że są one tajne, nie mam wątpliwości, że są ludzie, których nie złamię żaden kryzys.

Na moją prośbę Piotr Ogorodow obiecał przyjrzeć się sprawie. Lokalna administracja ma jednak większe problemy na głowie. Fabryka Wyrobów Metalowych nie przetrwa bez pomocy państwa, a jak tutaj mówią: „miasto to fabryka, fabryka to miasto”. Wielu ma nadzieję, że państwo przejmie lub umorzy długi i rozpocznie produkcję. Łyżki znów będą wspólne, a bojowi emeryci wrócą na swoje ławki w parku. 🏠

**Po mieście krążą
kryzysowe dowcipy:
– Tatusiu, kup mi
czekoladkę! – Synku, też
bym zjadł czekoladkę,
ale jest kryzys
i pieniędzy wystarczy
nam tylko na wódkę.**

Katarzyna Kwiatkowska jest ekspertką Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego. Ukończyła wschodoznawstwo na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Stale współpracuje z kwartalnikiem „Res Publica Nowa”.